

# ZAMIAST

Zamiast walczyć o pokój, skandując „Po-kój! Po-kój!”, entuzjastycznie się, że „pod Cedetem cała Wola, każdy krzyczy Coca-Cola!”

Zamiast włączać się do socjalistycznego współzawodnictwa deklarują, że „w dupie mają dyscyplinę pracy, [za co] ludowa władza do mamra ich wsadza”

Zamiast wyciskać siódme poty w Służbie Polsce, konikują pod kinami, oburzonym radząc: „Cześć pracy, napijcie się wody!”

Zamiast zdobywać odznaki SPO – Sprawny do Pracy i Obrony, sprawność podstawowa: rzut granatem – rzucają mięsem i wcześniej opróżnionymi butelkami, wypychają na tory konduktorów, leją w ryło bez dania racji.

Zamiast z dumą obnosić zielone organizacyjne koszule i czerwone organizacyjne krawaty Związku Młodzieży Polskiej, demonstrować oprychówki z gazetowym wkładem amortyzującym ciosy, prowokacyjnie podnoszone kołnierze, skarpetki we wszystkich kolorach tęczy, czasem bikini. Krawaty bikini.

Zamiast nucić: „Ej, przeleciał ptaszek...” z repertuaru Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca Mazowsze, podrygują w takt monotonna powtarzanej przyśpiewki: „dżez babu-riba, dżez babu-riba, dżez babu-riba, dżez”, choć zdarza im się piosnka o bardziej złożonej dramaturgii: „Raz Maniana szła pijana, prowadził ją stróż, morda cała obrzygana, a w kieszeni nóż”.

Stopniowo zawłaszczają ruiny, bramy, rogi ulic, skwery, chodniki przed kinami, lodowiska, przestrzenie wokół stadionów, kwartały miast.

Chuligani 1950–1960.

Jeśli wierzyć *Słownikowi frazeologicznemu* PWN, **złote lata** to okres największego rozkwitu, dobrobytu. Drugi element pomniemy jako zbyt abstrakcyjny w Polsce Ludowej lat pięćdziesiątych. Natomiast chuliganeria w tamtych czasach rozkwitała. Nie dlatego, iżby ktoś ją hołubił, ktoś jej pomagał. Wręcz odwrotnie: władze jej nienawidziły, uważając za młodzieżową V kolumnę, powołaną i sterowaną przez światowy imperializm w celu obalenia najlepszego z ustrojów, a także za siewcę zarazy w postaci amerykańskiego stylu życia.

Zwykli ludzie też nie cierpieli chuliganów, ponieważ utrudniali im i tak trudną egzystencję, a wiele ich drak przeistaczało się w pospolity bandytyzm.

Natomiast nigdy wcześniej i nigdy później chuliganeria nie pleniła się równie szybko, masowo i skutecznie. W apogeum (tylko trochę przesadzam) już nie stolica miała swoich chuliganów, lecz chuligani swoją stolicę. Wszystko razem wstrząsnęło Ludową do tego stopnia, że problemowi poświęciły uwagę najwyższe czynniki partyjno-rządowe.

I stąd tytułowe złote lata.

# Rozdział I

## WRÓG NA ODCINKU MŁODZIEŻOWYM

Chuligan.

Rzadko które słowo w języku polskim – choć nie z Polski pochodzi – ma tak uniwersalne znaczenie. Decyduje akcent, gest, mimika, nade wszystko zaś intonacja zależna od intencji.

– A to chuligan! – mówimy pobłaźliwie na widok malucha, który choć ledwie odrósł od ziemi, już rozrabia za czworo. Zachwyceni są rodzice, zachwyceni dziadkowie i ciocie. Wujowie wspominają niezawodne metody wychowawcze, jakimi byli poddawani.

– A to chuligan! – mówimy z niesmakiem na widok tegoż pacholęcia w nieco starszym wieku, traktującego ptaki i wiewiórki celnie adresowanymi kamieniami. Wciąż zachwyceni są dziadkowie oraz ciocie, podczas gdy rodzice zastanawiają się, czy przypadkiem nie popełnili błędów wychowawczych. Wujowie wiedzą to od dawna.

– A to chuligan! – mówimy z odrazą o młodym osobniku, który przed szkołą... w szkole... po szkole... na stadionie... na ulicy...

w parku... Dziadkowie nie żyją, ciocie wzywają imienia Pańskiego nadaremno, wujowie mają satysfakcję, poszczególny rodzic już wie, jakie błędy wychowawcze popełnił ten drugi.

Coraz częściej do słowa chuligan dodajemy: w spódnicy.

Sąd do wyroku dodaje „charakter chuligański”.

W sumie zjawisko społeczne nienowe, rozpoznane, wręcz oswojone. Przede wszystkim jednak chuliganeria kojarzy się dzisiaj z kibolami, czyli stadionową łobuzerią, w której, w razie partyjnej potrzeby, wprawne oko polityka dojrzy patriotycznie wzmoczoną młodzież.

Nie tak kiedyś bywało. Przed z górą sześćdziesięciu laty chuligaństwo urosło do rangi problemu wagi państwowej, spędzając sen z oczu najwyższym władzom partii niepodzielnie rządzącej, jej janczarom ze Związku Młodzieży Polskiej, milicji, prokuraturze, sądom i prasie. Ale także – jak byśmy dziś powiedzieli – zwykłym ludziom. Tyle że wtedy nie było zwykłych ludzi. Byli ludzie pracy, inaczej: lud pracujący miast i wsi, i byli wrogowie tego ludu: wyrzuceni z majątków obszarnicy, znacjonalizowani fabrykanci, rozkułaczeni kułacy (zob. *Niezbędnik* na końcu rozdziału), sklepikarze pozbawieni sklepów po przegranej bitwie o handel (*Niezbędnik*), niedobitki przedwojennych oficerów, policjantów, sądzików, prokuratorów, urzędników. Kler.

W odniesieniu do nich w użyciu były zwykle przymiotniki: „sanacyjni” bądź „reakcyjni” jako najskuteczniejsze, ponieważ z góry i o wszystkim przesądzały na niekorzyść nosicieli. Przynależność do klasy inteligencji była elementem tak obciążającym, że roztropny jej przedstawiciel na gwałt poszukiwał wśród swych przodków dobrze politycznie widzianego kozłarza<sup>1</sup> lub choćby

---

<sup>1</sup> Niewykwalifikowany robotnik budowlany. Na prostym rusztowaniu umieszczonym na plecach donosił cegły murarzom pracującym na wyższych kondygnacjach.

podkuchennej. Naznaczeni piętnem inteligencji, jej potomkowie fałszowali życiorysy, by dostać się na studia, a co wrażliwsi porzucali zhańbione klasowo rodziny.

Nowa władza stworzyła zarazem szczególną podklasę inteligencji zaangażowanej po właściwej stronie: ideowych lub zwyczajnie kupionych artystów, pisarzy czy dziennikarzy. Było to dobre dla niej, natomiast nie zawsze dla nich, ponieważ bezpieka nie bez podstaw zakładała, że inteligent, jeśli nawet buduje socjalizm, to i tak z obrzydzeniem, zatem na wszelki wypadek trzeba go podejrzewać dla zasady, wraz z resztą klasy.

Natomiast zwykły lud pracujący miast i wsi, chcąc nie chcąc, miał do spełnienia historyczny obowiązek budowy nowego, socjalistycznego ustroju, wbrew „łajdackim knowaniom imperialistów amerykańskich i bońskich odwetowców” (*Niezbędnik*) oraz kata narodów Jugosławii, Josipa Broz Tito (*Niezbędnik*).

A socjalizm należało budować za wszelką cenę, nie zważając na głodowe zarobki, podobnie jak w Najjaśniejszej budowano kapitalizm, jednak z większą surowością. Pracy musiało wystarczyć dla wszystkich, gdyż była obywatelskim obowiązkiem. Konstytucja z 22 lipca 1952 roku, nieoficjalnie zwana stalinowską ponieważ duże jej fragmenty ponoć odręcznie poprawiał na krajowym projekcie sam Generalissimus (*Niezbędnik*), stwierdzała w artykule 14:

1. Praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela. Pracą swoją, przestrzeganiem dyscypliny pracy, współzawodnictwem pracy i doskonaleniem jej metod lud pracujący miast i wsi wzmacnia siłę i potęgę Ojczyzny, podnosi dobrobyt narodu i przyśpiesza całkowite urzeczywistnienie ustroju socjalistycznego.

Młodzież – przysposabiając ją do przyszłości – zaganiano do paramilitarnej organizacji Służba Polsce (1948–1955, po

1955 roku Ochotnicze Hufce Pracy), w której wegetowała za nędzną strawę i przyodziewek.

Uchylenie się od pracy i wszelkiego rodzaju bumelanctwo, czyli manie w d... roboty, w najlepszym razie surowo piętnowano w gazetkach ściennych, a w najgorszym – w sądach podciągano pod sabotaż. Jak ostrzegął niepodpisany wstępniak w tygodniku „Po prostu”:

Bumelant to obiektywnie rzecz biorąc złodziej. Okrada on naszą klasę robotniczą, nasz lud pracujący, który oddaje ciężko zarobione pieniądze na to, by młodzież mogła się uczyć. Człowiek, który potrafi bumelować, jest potencjalnym przestępcą<sup>2</sup>.

Podobnie jak bez końca obrabiany w prasie, radiu i Polskiej Kronice Filmowej (*Niezbędnik*) – brakorób. A ponieważ cała socjalistyczna gospodarka kręciła się wokół fetysza zwanego PLANEM, to planowano wszystko, co tylko sobie można wyobrazić, łącznie z pogłowiem zajęcy. Na szczęblu centralnym zajmowała się tym wszystkim Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego. Zbudowano dla niej specjalny gmach, skądinąd ciekawy architektonicznie, przy placu Trzech Krzyży w Warszawie; obecnie budynek jest siedzibą ministerstw co chwilę zmieniających nazwy.

Plan zaś każda kopalnia, huta, fabryka, spółdzielnia, każde przedsiębiorstwo, każdy zakład pracy, każdy obywatel powinna/powinno/powinien wykonywać w terminie i bez gadania, a najlepiej przed terminem i z nadwyżką.

Ponieważ jednak, generalnie, plany wykonywali niedouczeni ludzie na felernych radzieckich i wysłużonych poniemieckich maszynach, z nędznych komponentów i za jeszcze nędzniejsze grosze – za to także w ramach darmowych nadgodzin – więc nic dziwnego, że wyroby opuszczające fabryki i inne przybytki

---

<sup>2</sup> „Po prostu” 1951, nr 36.

gospodarki planowej, a osobliwie ponadplanowej, nie cieszyły się uznaniem ani kooperantów, ani odbiorców produktu finalnego.

Pod koniec każdego miesiąca – i oczywiście roku – odbywało się tzw. gonienie planu, gdyż bezlitosna sprawozdawczość i naturalny instynkt samozachowawczy nakazywały zgłaszać jego wykonanie za wszelką cenę. Ceną były premie, czasem mieszkania dla załogi, a już na pewno być albo nie być dyrekcji. Wtedy kontrole techniczne (i tak łagodne z natury) jeszcze szczerzej przymykały oczy na wszelkie braki, niedoróbki, na rozpadające się od pierwszego spojrzenia buty i domy. Toteż kto tylko mógł, unikał kupowania czegokolwiek wyprodukowanego pod koniec miesiąca, a zwłaszcza roku, co dla wytwórców i tak nie miało znaczenia, ponieważ nawet na taki chłam, wzgardzony przez – jak wtedy mawiano – oblatanego obywatela, polowały dziesiątki mniej oblatanych.

W poważniejszych przypadkach fabrykę przeklinał nabywca grudniowej warszawy M-20, osobówki z FSO na Żeraniu, kupionej od przodownika pracy socjalistycznej. Otóż najbardziej zasłużonych nagradzano – jeśli akurat nagradzano – przydziałami mieszkań lub talonami na samochody, których w normalnej sprzedaży nie było. O ile jednak mieszkania przydzielano bezpłatnie, o tyle za auta – bardzo drogie – trzeba było płacić. A ponieważ przodujący dla idei przodownik nie miał pieniędzy, więc odsprzedawał talon. Przeważnie wrogowi ludu, czyli prywaciarzowi: kupcowi z legalnego bazaru i z czarnego rynku, badyrlarzowi (ogrodnikowi na swoim), modnemu krawcowi, szewcowi, ale i wziętemu adwokatowi czy lekarzowi z prywatną praktyką. Nawiasem mówiąc, już sam przymiotnik „prywatny” wywoływał w rewolucyjnie czujnych organach władzy paroksyzm nienawiści.

W przypadkach drobniejszych na przykład pluszak z domu towarowego wyglądał tak koszmarnie, jak miś z filmu *Sprawa do załatwienia*. Już wtedy bowiem (1955) mieliśmy misia, choć

w reżyserii nie Stanisława Barei, ale duetu reżyserskiego Jan Fethke i Jan Rybkowski, i nie ze Stanisławem Tymem, lecz z Adolfem Dymszą – za to w pięciu rolach. *Sprawę do załatwienia*, nakręconą skądinąd w trybie tzw. konstruktywnej krytyki, naród oglądał równie tłumnie jak *Misia*, może dlatego, że najczęstszą alternatywą był *Lenin w Październiku*, sztandarowa produkcja radzieckiego Mosfilmu, z 1937 roku.

Mocną stroną *Sprawy* była nieskomplikowana fabuła, dzięki której obraz łatwo trafiał do serc i umysłów. Oto do małej fabryki przybywa młody reporter raczkującej telewizji (Bogdan Niewinowski), aby nakręcić dokument o przodownicy pracy Zosi (Gizela Piotrowska). Też młodej. Zosia udziela się w zakładowej świetlicy i chciałaby tamtejszemu zespołowi pieśni i tańca kupić pianino. Za zakładowe, ma się rozumieć, ale pianin i tak nie ma. Reporter TV, jak to reporter TV, obiecuje załatwić, po czym zapomina. W rezultacie, gdy Zosia przyjeżdża do stolicy, to jest rozżalona. Reporter pragnie dziewczynę udobruchać, a zarazem... zarazem zaczyna mu leżeć na sercu los zespołu pieśni i tańca. Tymczasem bohaterowie spotykają prawie samych niemiłych ludzi, rzucających pianinu kolejne kłody pod nogi. Nic to, młodzi razem pokonują przeciwności i po spełnieniu obowiązku wobec świetlicy budzą w widzu nadzieję na założenie podstawowej komórki społecznej, co sugeruje romantyczny spacer nad rzeką Wisłą.

Konkurencyjnego dzieła nie streszczam. Nadmienię tylko, że na plakatach informujących, iż *Lenin w Październiku*, niewidzialna ręka dopisywała: *A koty w marcu*.

Wróćmy do konsumentów. Otóż klient detalicznego handlu uspołecznionego, tresowany na każdym kroku, w ogóle się nie liczył. Podobnie jak przemysł lekki, produkujący na rynek (pojęcie zabronione). W gospodarce socjalistycznej liczył się przemysł ciężki. A to dlatego, że był wytwórcą środków produkcji, tzn. produkco-



wał dla przemysłu ciężkiego środki produkcji po to, by ten mógł produkować środki produkcji dla przemysłu ciężkiego.

Ale i tak najważniejszy był przemysł wydobywczy, dostarczający dobra narodowo-eksportowego, czyli węgla kamiennego, którego masowy wywóz podtrzymywał gospodarkę Polski Ludowej przez cały czas jej trwania. Na potrzeby kraju musiał wystarczyć węgiel kamienisty. Opowiadano, jak pociąg ze Śląska czy Zagłębia wiezie taki właśnie węgiel. Po drodze, na małej stacyjce, musi zaczekać pod semaforem. I oto pech: wybucha pożar, obejmuje cały skład. Przyjeżdża straż, próbuje ugasić, ale nic z tego. Kiedy jest już po wszystkim, gdy dopalają się zgliszcza pociągu, kierownik stacji telefonuje do Centrali: – Wszystkie wagony spłonęły! Co zrobić z węglem?

Z czarnym złotem był również polityczny problem. Ludzie powszechnie i nie bez kozery podejrzewali, że ten dobrych gatunków jedzie nie tylko na Zachód po cenach dumpingowych, ale zwłaszcza za granicę przyjaźni na Bugu jako bezcenny, bo po żadnych cenach. Stąd powszechne przekonanie: my im dajemy węgiel, a oni za to biorą od nas świnie.

Prawdziwą świętością była praca. Im bardziej fizyczna, tym cenniejsza ideologicznie. Pracę Partia – zawsze przez P – i Rząd – zwykle przez R – deklinowały oraz koniugowały do potęgi „n”, przy czym najbardziej pożądana była albo bezpłatna w czynie społecznym, albo szaleńcza w trybie socjalistycznego współzawodnictwa; np. brygada murarza Prętkiego rzucała brygadzie murarza Chyrzego wyzwanie, która z nich przez osiem godzin ułoży więcej cegieł. Nazywało się to socjalistycznym współzawodnictwem pracy. Zwycięzca – z braku telewizji<sup>3</sup>, która, jeśli tak można powiedzieć,

---

<sup>3</sup> Nieśmiałe próby w latach 1951–1953 były ograniczone do terenu Warszawy; żadnego programu tv w prasie jeszcze nie podawano. Rzeczywisty rozwój zaczyna się od ok. 1957 r.; pierwsze odbiorniki (w których awarie goniły awarie) sprzedawano na talony dla swoich, za równowartość mniej więcej trzech średnich

istniała tylko w prasie i filmie – był następnie fetowany w radiu, gazetach oraz Polskiej Kronice Filmowej, po czym pod osłoną nocy jeszcze inna brygada oba mury rozbierała, aby się następnego dnia nie zaważyły.

Czasy zrodziły też liczną kastę wspomnianych już przodowników pracy. Mówiła o nich nawet konstytucja lipcowa w artykule 14 ust. 2:

Przodownicy pracy otoczeni są powszechnym szacunkiem narodu.

Zasadniczą właściwością przodownika było rzucanie wyzwań. Przodownik rzucał je najpierw samemu sobie, następnie innym przodownikom. Po czym – jeśli jeszcze żył i znajdował siły po wyczerpującej walce o pokój na niezliczonych wiecach – przekraczał kolejne granice. I w tym wypadku przekraczanie śledziła prasa, radio oraz PKF. Szczyty sławy osiągnął górnik Wincenty Pstrowski (*Niezbędnik*), ale na krótko, bo zaraz umarł. Do dziś pozostał po nim pomnik w Zabrze i nieco zapomniany dwuwiersz:

*Chcesz iść prędko na sąd boski?  
Pracuj, jak pracował Pstrowski.*

---

pensji krajowych. Dlatego dość chętnie je odsprzedawano. Podawany z czasem program nie rzucał na kolana, jak np. ten z 1 października 1958 r., cytuję za „Życiem Warszawy”: „18.30 – Plastyk dziecięcy przed kamerą – rozmowa z dziećmi; 18.40 – Skrzynka techniczna; 19.00 – rozmowa z filmowcami z Jugosławii; 19.30 – Dziennik telewizyjny; 20.00 – Gabinet Figur Wojskowych – koncert w wykonaniu zespołu Warszawskiego Okręgu Wojskowego pod kier. mjr. Leopolda Kozłowskiego”. I tyle. Następnego dnia program przewidywał więcej atrakcji: na początek o 16.15 mecz Polska – Anglia, potem m.in. Miś z okienka, zaś na koniec o 21.00 Teatr Sensacji i Fantastyki, czyli słynna „Kobra”, ze spektaklem C. Kornblutha *Czarna walizeczka* w adaptacji I. Dziedzic. A mecz był żużlowy, nie piłkarski; odnieśliśmy zwycięstwo moralne, natomiast Anglicy zdobyli więcej punktów: 81 wobec naszych 27.

Od każdego oczekiwano, że podejmie jakieś zobowiązanie, jakiś czyn produkcyjny lub – z braku takiej możliwości – podobny, byle społeczny. Najważniejsza była masowość, dezercja z szeregów mogła zwichnąć karierę. Wkrótce najskromniejszy urzędnik wiedział, że bezpieczniej podjąć zobowiązanie o zaoszczędzeniu w ciągu roku 0,15 litra atramentu i 20 spinaczy, niż nie podjąć żadnego. A na przykład szoferzy państwowego transportu drogowego ozdabiali swoje maszyny plakietkami głoszącymi: „Mój samochód świadczy o mnie”, dzięki czemu można było czasem dostrzec czysty uspołeczniony pojazd.

Istne epidemie wybuchały z okazji rocznic i świąt państwowych: 1 Maja, 22 Lipca, Rewolucji Październikowej, no i faszystów też rozgromiliśmy pod Lenino. Z okazji zjazdów Partii, zawsze przez P, podejmowano czyny oraz warty przedzjazdowe, zjazdowe i pozjazdowe. Okazji więc nie brakowało, a każdą trzeba było uświetnić ponadplanowymi tonami wydobytego węgla, wytopionej stali, dodatkowymi litrami mleka udojonego od uświadomionych politycznie krów z PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych.

Leopold Tyrmand w *Dzienniku 1954*<sup>4</sup> pod datą 7 marca przytoczył taki oto pasażerski dramat związany z wartą:

W Warszawie opowiada się ostatnio o fantasmagorycznej podróży jednego z samolotów komunikacji pasażerskiej LOT do Poznania. Otóż zaraz po wzniesieniu się samolotu w powietrze, jeszcze nad Warszawą, wyszedł z kabiny pilotów młody człowiek w mundurze LOT-u i w czerwonym, zetempowskim krawacie, i oświadczył struchlałym pasażerom: „Obywatele! Składam wam gratulacje i oczekuję wzajemnych od was. Samolot bowiem, na którego pokładzie właśnie się znajdujemy, został przez bezdusznych rutyniarzy uznany za niezdatny do użytku. Mimo to młoda brygada zetempowskich lotników, w ramach współzawodnic-

---

<sup>4</sup> L. Tyrmand, *Dziennik 1954. Wersja oryginalna*, oprac. H. Dasko, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.

twą pracy i wart przedzjazdowych, zobowiązała się użytkować go nadal bez generalnego remontu, oszczędzając w ten sposób miliony złotych i setki roboczogodzin dla Państwa. I proszę, oto lecimy!...”. Lament, jaki zapanował po tej podniosłej enuncjacji, przypominał podobno najlepsze wzory staroegipskich pogrzbów, a jakiś podróżujący akurat do Poznania dygnitarz partyjny zawył wielkim głosem: „Dość tej szopy! Dość komedii! Domagam się natychmiastowego lądowania. Nie wiecie, kto ja jestem. Ja wam pokażę!...”. Samolot mimo wszystko wylądował jednak w Poznaniu, gdzie pasażerów długo cucono.

*Se non e vero, e ben trovato.*

Indoktrynacja nie mogła ominąć wychowawców młodzieży. Ponieważ z młodymi kadrami nauczycielskimi było krucho – bo skąd je brać wkrótce po wojnie? – więc z konieczności wykorzystywano stare, niekiedy ciepło wspominające sanacyjne czasy. To samo dotyczyło profesorskich i niższych kadr uniwersyteckich. Aby nie dopuścić do szerzenia reakcyjnych poglądów, władzę w szkołach średnich i wyższych nieformalnie przejął ZMP, którego aktywiści z zjadłością dorównującą głupocie celowali w poniewieraniu najlepszymi nauczycielami za braki w wykształceniu ideologicznym, które to wykształcenie polegało na powtarzaniu przy każdej okazji – oraz bez okazji – tego samego zestawu haseł o wyższości socjalizmu/komunizmu nad kapitalizmem/imperializmem, zwieńczonych sakramentalnym: „ze Związkiem Radzieckim na czele”.

Końcówka była święta; i młodym, i starym (reszcie też) wpa-jano bowiem nauki o przewagach ludzi rosyjskich i radzieckich nad innymi nacjami, na każdym polu, toteż zdumiony czytelnik lub słuchacz dowiadywał się, że wszystkich istotnych wynalazków dokonali Rosjanie bądź radzieccy. Wywoływało to rozmaite reakcje, w tym niepożądane: „Kto wynalazł radio? Aleksander Stiepanowicz Popow. U Marconiego na strychu”.